



Mirosław Derecki

ŻYCIE W FABRYCE...

Wszystko zawdzięczam Fabryce. Tutaj spędziłem całe swoje dotychczasowe dorosłe życie, to Fabryka miała wpływ na kształtowanie mojej osobowości i jeżeli dzisiaj patrzę na świat tak, a nie inaczej, to wielka w tym zasługa naszego zakładu, w którym od stu trzydziestu lat klasa robotnicza ciągnie swoją tradycję. Raz tylko skusił mnie Świdnik, ale po dwóch miesiącach byłem znowu w Lublinie, na ulicy 1 Maja pod numerem szesnastym, u starego „Wolskiego”.

Już bym nigdy nie mógł odejść więcej ani z Lublina, ani od „Wolskiego”, widocznie jestem zbyt wrośnięty w tę okolicę i w to środowisko; w pobliżu Fabryki Maszyn Rolniczych się urodziłem, w tej dzielnicy chodziłem do szkoły i tutaj z dziada pradziada siedziała cała nasza rodzina Szymanków. Mój ojciec całe życie przepracował na ulicy 1 Maja, najstarszy brat, Józef, który ma już 83 lata, na połowę życia związał się z niedaleką Cukrownią „Lublin”. Zaś dziadek mój, Franciszek Szymanek, był zawodowym strażakiem a także, będąc uzdolniony muzycznie, trąbił pięknie na Bramie Krakowskiej. Za czasów dziadka Franciszka trąbiło się wprawdzie tylko na znak pożaru, ale on umiał nadać alarmowemu sygnałowi takie szczególne brzmienie, że każdemu było zaraz wiadomo, że to Szymanek ma dyżur na Bramie. A taki był Lublin spokojny w tych czasach, że w mieszkaniu rodziców na 1 Maja czyli dawnej Foksalnej, pod czterdziestym piątym słyhać było wyraźnie głos trąbki. Ja już tego nie pamiętam, znam tę historię tylko z opowiadań, bo byłem najmłodszym z trzynastorga dzieci i kiedy się urodziłem, dziadek już nie żył. A ojciec mój, też Franciszek, był dozorcą w dużej kamienicy i dopiero pod koniec życia zdobył się na skromny domek przy ulicy Majdanek, tuż przy torze kolejowym biegnącym w kierunku Siedlec i tam przeżyłem swoje młodzięcze lata; już w trochę innej okolicy i innym środowisku ale przecież właściwie w tej samej dzielnicy - głos syren z fabryk Moritza i Wolskiego był tutaj tak samo donośny jak gwizd przejeżdżających przed oknami naszego domku pociągów.

Kiedy wybuchła wojna, byłem jeszcze za młody żeby iść do wojska, ale już wkrótce okazałem się dla Niemców dostatecznie dorosły i silny, żeby zostać „capniętym” do junaków. Nikt się mnie nie pytał o zdanie, przyszło pewnego dnia pismo, że Mieczysław Szymanek ma się stawić w wyznaczonym terminie tu i tu, z kompletem bielizny i zapasem żywności na

jeden dzień. W takiej samej sytuacji znalazło się stu innych chłopców z Lublina. Zanim się połapaliśmy o co chodzi, mieliśmy już na sobie granatowe kombinezony, na nogach drewniaki a na głowach berety i jechaliśmy do Kazimierza nad Wisłę, do pracy w kamieniołomach...

Latem 1942 r. nasza kompania junaków została zakwaterowana w stojących w lesie barakach, w Gołębiu pod Dęblinem. Pracowaliśmy przy konserwacji i naprawach torów kolejowych. Kierownikiem grupy roboczej był Niemiec nazwiskiem Zelcer a tłumaczem Żyd, który przyjechał z nami z Kazimierza. Nazywał się Bloch, jego żona pracowała u nas jako urzędniczka w werksztubie i dzięki temu, że byli Niemcom potrzebni, dotąd jeszcze nie zostali wysłani do obozu koncentracyjnego. Którejś nocy na teren obozu wjechały trzy furmanki wypełnione ludźmi. To byli partyzanci działający w okolicznych lasach. Nawiązaliśmy z nimi kontakt, stanęła umowa, że w odpowiednim czasie będziemy im jako „fachowcy” pomagali w rozkręcaniu torów i wykolejaniu niemieckich pociągów. „Czekajcie na znak” - powiedzieli na pożegnanie i odjechali. Ale my byliśmy młodzi i czekać nie potrafiliśmy. Zaczęło się od tego, że przez zablokowanie zwrotnicy wykoleiliśmy cysternę z benzyną, a potem nastąpił cały szereg niewielkich, ale uciążliwych dla Niemców, naszych własnych „akcji kolejowych”.

Tak było do października. Pewnego ranka do mojej grupy pracującej na torach podchodzi inspektor Zelcer a obok niego jest dwóch żandarmów. „Szymanek, komm!” - powiada i kiwa na mnie palcem. Od razu wiedziałem, że jest źle. Wchodzimy do szrajbsztuby a tam za biurkiem siedzi Blochowa blada jak papier i mówi do mnie trzy słowa: „Mięciu, sprzedany jesteś!”.

Nigdy się nie dowiedziałem, kto na mnie palcem wskazał, nie znam nazwiska zdrajcy, ale co do siebie, to mogę być dumny, że choć mnie później katowano, nie wydałem nikogo z towarzyszy, od „akcji kolejowych”. Na Zamku w Lublinie siedziałem na IV Oddziale w celi nr 19 i było nas w tej celi razem 110 osób. Komendantem celi był Salomon, przedwojenny major WP i on dał mi miejsce na narach, kiedy wróciłem skatowany z gmachu gestapo „Pod Zegarem”.

Na początku roku 1943 odbyła się rozprawa sądowa, w której byłem oskarżony o sabotaż i dywersję, ale ponieważ całe oskarżenie opierało się na fakcie posiadania przeze mnie butów z wykolejonego transportu, ostatecznie skazano mnie tylko na rok ciężkiego więzienia. W maju przewieziono mnie do Białej Podlaskiej, gdzie pracowałem w tartaku, i stamtąd, wykorzystując nieuwagę strażników, udało mi się uciec. Ta ucieczka może dlatego udała się, że była zupełnie spontaniczna, niezaplanowana i wbrew zdrowemu rozsądkowi. Razem ze mną uciekł niejaki Sanecki z Dębina i Szymański - nauczyciel z Warszawy. Szliśmy nocami, trzymając się torów kolejowych w kierunku Dębina, tutaj rozdzieliliśmy się

i każdy poszedł w swoją stronę. Późną nocą podszedłem w Gołębiu pod nasz obóz. Ale w lesie panowała cisza, junacy zniknęli a z baraków pozostały tylko zgliszcza - spalili je partyzanci. Nie było czego żałować. Zdrzemnąłem się chwilę pod sosną, a o świcie ruszyłem na Lublin. Okolica była znajoma, więc szedłem cały dzień bocznymi drogami. Zaczęło się ściemniać, kiedy dotarłem do mostu kolejowego na Wrotkowie. Taka była cisza i takie czyste powietrze, że mimo ogromnej odległości usłyszałem bicie zegara na Bramie Krakowskiej. Uderzył osiem razy - na godzinę dwudziestą, godzinę „policyjną” i wtedy przyszła mi do głowy śmieszna myśl, że to tak jakby dziadek Franciszek dawał mi ostrzeżenie. Łąkami nad Bystrzycą przedostałem się na tyły ulicy 1 Maja, do domu siostry, a potem szwagier, Stanisław Sobieszczański, kolejarz związany z robotą podziemną, zaopiekował się mną i wyrobił lewe papiery. Zakonspirowałem się w prywatnej firmie remontów torów kolejowych - „Muliński i Wróblewski” i miałem szczęście, że nigdy więcej nie wpadłem w łapy Niemcom.

Okres junacki, Zamek a potem ucieczka, to była dla mnie prawdziwa szkoła życia i szkoła patriotyzmu i nauka wiary w człowieka. Bo mi rękę podawano w chwilach największego niebezpieczeństwa, gdy za pomoc szło się na śmierć. Więc kiedy w 1944 r. zgłaszałem się na ochotnika do Ludowego Wojska Polskiego, a potem z 25 Pułkiem Ciężkiej Artylerii Samochodowej szedłem jako fizylier i zwiadowca aż pod Budziszyn, to zdawałem sobie dobrze sprawę dlaczego to robię i za jaką sprawę, dla jakiej przyszłości kraju, dla jakich ludzi tę oto pierś na kule wystawiam.

Kiedy chowaliśmy na cmentarzu w Bolesławcu naszego pułkownika Fizyna, łzy nam, żołnierzom, do oczu napływały i myśleliśmy wtedy, czy by nie osiedlić się tutaj po wojnie w jakiejś wsi okolicznej, w pobliżu dowódcy, który nam ojcem był... Ale kiedy przyszedł koniec wojny i demobilizacja, ja ciągle nie mogłem zapomnieć Lublina, chociaż raj mnie tam przecież nie czekał, bo rodzina była w rozsypce, i mimo dwudziestu czterech lat życia żadnego konkretnego zawodu się jeszcze nie wyuczyłem.

Kiedy w 1947 r. przyjechałem do Lublina, ojciec powiedział: „Idź do fabryki, teraz przed przemysłem jest wielka przyszłość, w fabrykach rządzą robotnicy i to jest wielka okazja żebyś Polskę nową budował i żebyś przy tym wyszedł na ludzi”. Więc poszedłem do dawnej fabryki Moritza, od stu lat mieszczącej się „na klinie”, u zbiegu obecnych ulic: Buczka i Armii Czerwonej, gdzie wytwarzano kieraty, siewczarnie, pługi, brony i młocarnie, te narzędzia, które potrzebne były tak bardzo dla uprawy ziemi, po której przetoczyły się działania wojenne. Poszedłem do „Moritza”, bo to była fabryka leżąca w mojej rodzinnej okolicy i także dlatego, że tam właśnie potrzebowano rąk do pracy. I ja właśnie miałem dwie ręce.

Zacząłem pracować „na placu”, w transporcie. Do tego nie trzeba wielkich umiejętności. Nie wiem, jak by się potoczyło dalsze życie, gdyby nie upatrzył mnie sobie jeden stary majster, od czasów przedwojennych zrośnięty z zakładem, który zaproponował mi wstąpienie na kurs przyuczający do zawodu tokarza. Po ukończeniu takiego kursu nie posiadało się jeszcze pełnych kwalifikacji, ale przechodziło się „na produkcję” i wtedy można było kontynuować naukę i zdobyć zawód. I tak też się stało w moim wypadku. Jeżeli dzisiaj mogę się pochwalić kilkunastoma nagrodami i dyplomami przodownika pracy, „Pstrowskim” - Odznaką Przodownika Pracy Socjalistycznej i Złotym Krzyżem Zasługi, to zawdzięczam to także tamtemu staremu majstrowi, który skierował mój robotniczy życiorys na właściwy tor.

Moja młodość i pełnia wieku męskiego upłynęły w Fabryce, w LFMR powstałej z połączenia „Moritza” i „Wolskiego”, w „Agromecie” – jak brzmi jej dzisiejsza nazwa. To nie jest przesada, bo istotnie, przez wiele, bardzo wiele powojennych lat, moje pokolenie nie rozstawało się z zakładem pracy po zakończeniu zmiany. W Fabryce toczyło się życie towarzyskie - świetlica była zawsze pełna, bo tu przychodziliśmy z naszymi dziewczynami a potem z żonami na potańcówki i wspólnie organizowane wielkie zabawy taneczne, tutaj oglądaliśmy nasze zespoły artystyczne i słuchaliśmy koncertów naszej zakładowej orkiestry. Kwitło też życie sportowe i mieliśmy „na Pionie”, w obrębie dawnej fabryki Moritza, własne boisko - sam byłem współorganizatorem zrzeszenia Sportowego „Stal”, które zakładaliśmy na Lubelszczyźnie w 1954 r. w tym czasie wiele miejsca poświęcaliśmy turystyce - zdobyłem wtedy uprawnienia organizatora turystyki i instruktora pływania. Przez wiele lat, po ukończeniu specjalnego kursu, działałem jako społeczny zakładowy inspektor pracy, uczestniczyłem też w działalności naszej zakładowej placówki ORMÓ.

Dzisiaj młodzież interesuje się życiem kulturalnym czy sportowym raczej „na zewnątrz” Fabryki i nie wiem, czy to jest zgodne z duchem czasu, czy też może nie mamy do tych młodych ludzi odpowiedniego „klucza”. Pamiętam, był u nas taki młody człowiek, jeszcze za „zetempowskich” czasów, nazywał się Abramek, pracował ze mną „na produkcji” a wieczorami przekształcał się w doskonałego organizatora pracy społecznej i kulturalnej...Może takich właśnie ludzi nam dzisiaj czasem brakuje?

W Fabryce ukształtowały się także ostatecznie moje przekonania ideologiczne. To był nie tylko wpływ historycznych tradycji proletariackich cechujących zawsze załogę „Moritza” i „Wolskiego”, gdzie żywe są wspomnienia komórek PPS i SDKPiL, KPP i Gwardii Ludowej, ale przede wszystkim sprawa atmosfery zaangażowania w problemy klasy robotniczej i problemy narodu charakterystyczne dla tutejszego środowiska. W 1956 r. wstąpiłem do partii, a od 1960 r. pełnię funkcję skarbnika w Zakładowej Organizacji Partyjnej.

Kiedy rozglądam się wokół siebie lub patrzę w czas miniony - a im bliżej emerytury, tym częściej nachodzą człowieka skłonności do analizowania i bilansowania życia - to utwierdzam się w przekonaniu, że pokierowałem swoim życiem właściwie. Tkwię jak cała rodzina - w środowisku, w którym wyrosłem, robotnikiem jest mój starszy syn Wojciech - jestem dumny, że ma Odznakę Janka Krasickiego za dobrą pracę - robotnikami są synowie moich starszych braci i siostr. Syn najstarszego brata Józefa, pracuje nawet w tym samym zakładzie, co ja... To by też mogło dla kogoś wyglądać na rodzaj stagnacji, brak „ambicji życiowych”, ta chęć do zachowania rodzinnej tradycji w niezmiennym kształcie. Ale to błędne spojrzenie... Kiedy spoglądam na nasz zakład, na jego starą architekturę, to uświadamiam sobie zarazem, że jest to przecież nowoczesna, wyspecjalizowana fabryka maszyn rolniczych, której wyroby z czasów mojej nie tak dawnej młodości - te kieraty, siewczkarnie, lemieszki, młocarnie, można by już umieścić jako „archeologiczne eksponaty” w organizowanej właśnie Izbie Pamięci. Więc to nieprawda, że pozostajemy w miejscu. My ciągle idziemy naprzód razem z Fabryką i, tak jak ona, stale się zmieniamy. I w przyszłości objawi się to jeszcze bardziej wyraźnie: gdy ostatecznie zostanie zakończona budowa nowoczesnych zakładów na Wrotkowie, kiedy opustoszeją stare hale na 1 Maja „pod szesnastym” i „na klinie”, a parowe syreny „U Moritza” i „U Wolskiego” zamilkną na zawsze...

Pierwodruk: „Kamena”, 1977, nr 9, s. 1,3.